

Habilitacja – najważniejsza?

Z ogromną uwagą śledzę dyskusję dotyczącą habilitacji w „PAUzie Akademickiej”, jednym z najlepszych czasopism poświęconych polskiej nauce. Nie dziwię się poglądom zarówno negującym sensowność habilitacji, jak i widzącym jej potrzebę. Obie strony sporu mają rację!

Habilitacja, ale też (ośmielał się dodać) doktorat, profesura nadzwyczajna, zwyczajna czy tytułarna, wcale nie są potrzebne. O wartości badacza nie świadczą literki stojące przed nazwiskiem, tylko to, co on napisał, zbadał, powiem patetycznie – odkrył, czy wynalazł. Niejaki Nicolaus Copernicus nie miał żadnych tytułów naukowych, a jak się zdaje, jest powszechnie szanowany, nie tyle za samo stwierdzenie, co za udowodnienie (i to w precyzyjny sposób), jak jest zbudowany Układ Słoneczny. A habilitacji nie miał.

Gdy dzisiaj się popatrzy (nawet nie musi się przeczytać), można od razu stwierdzić, czy dany tekst ma charakter naukowy czy publicystyczny. Jednakże dopiero po porządnym przestudiowaniu można stwierdzić, jakie dany tekst naukowy ma błędy i niedociągnięcia, a tym samym, na jakim jest poziomie. I tak to nie zawsze wystarcza do sprawdzenia, czy nie mamy do czynienia z hochsztaplerką albo plagiatem. Ci, którzy potrafią czytać, muszą zatem mieć uzasadnioną opinię o jakości prac swoich kolegów. Tak zatem jest, że wewnętrzna środowiskowa opinia specjalistów o danych naukowcach często odbiega od hierarchii stopni, tytułów i zaszczytów akademickich. Tego typu zbiorowa opinia dotycząca jakości osiągnięć – trzeba dodać – rzadko jest niesprawiedliwa. W tych środowiskach naukowych, gdzie istnieje kultura organizacyjna wymuszająca ujawnianie i tym samym formalne ocenianie danego badacza wyłącznie pod względem merytorycznym, stopnie i tytuły naukowe nie są potrzebne. Wręcz jest odwrotnie. Dobra instytucja badawcza, chcąc mieć sukcesy, nie zatrudni człowieka tylko dlatego, że ma dokument od Prezydenta RP, że jest genialny. Kryterium jedynym jest to, czy jest w stanie coś porządnie zbadać i opublikować w takim miejscu, by zostało to dostrzeżone wśród innych specjalistów w świecie. Tam, gdzie istnieje taka merytoryczna kultura organizacyjna, stopnie i tytuły naukowe nie są potrzebne. Dotyczy to również habilitacji.

Jednakże habilitacja jest potrzebna tam, gdzie nie prowadzi się badań naukowych, i to w dwóch sytuacjach: tam, gdzie chce się tworzyć sztuczny świat hierarchii akademickiej oraz jako sposób na, mimo wszystko, wydobycie z takiego w tej chwili coraz bardziej peryferyjnego miejsca. Autor zleпка cytatów i fragmentów, zazwyczaj skrzętnie

opatrzonych przypisami, dzięki wyjazdowi do Krużemborka, bądź życzliwości kolegów ze swojego środowiska, staje się kimś ważnym, a w dodatku uzyskuje gwarancję stabilnego zatrudnienia. Nawet jeśli ktokolwiek go zwolni i tak dostanie zatrudnienie na innej uczelni. Dotacja ministerialna jest bowiem zależna m.in. od posiadanych przez pracowników stopni i tytułów. A nie jest to przecież jedyna korzyść z zatrudnienia tzw. samodzielnego pracownika nauki.

W drugim przypadku chodzi głównie o mnożenie szczebli awansu tak, by poprzez te siła mogli się przedostać jedynie najlepsi. Obowiązujące jest następujące stwierdzenie zwolenników mnożenia lub utrzymania szczebli kariery naukowej: chodzi o to, by rozkład IQ wśród profesorów był przynajmniej podobny do charakterystycznego dla całego społeczeństwa. Skuteczność tych działań jest jednak stosunkowo mizerna. Komisje habilitacyjne podejmują decyzje nie tylko ze względów merytorycznych, ale również z wielu innych powodów, w tym i pod presją prawie nieuchronnych odwołań kandydatów. Nie można im się dziwić – perspektywa utraty pracy jest czynnikiem silnie motywującym do walki z krytycznymi recenzentami, i to czasami nawet w sądach. Tytuły profesorskie przyznaje się nie tylko ze względu na osiągnięcia badawcze, ale i np. z powodu zbliżającej się emerytury. Raz nawet usłyszałem bardzo szczere wyznanie: „dajmy mu tytuł, pójdzie na emeryturę, nikomu już nie zaszkodzi”. Jednakże zarówno habilitacja, jak i tytuł profesorski są w jakimś stopniu przeszkodami czasami do nie do pokonania dla bardzo słabych kandydatów, szczególnie wtedy, gdy są oni niezbyt znani w środowisku.

Jakie jest rozwiązanie? Po pierwsze, konieczne jest precyzyjne określenie kryteriów przyznawania stopni i tytułów naukowych. „Znaczące osiągnięcie naukowe” może być naprawdę bardzo różnie rozumiane. Po drugie, gremia naukowe przyznające doktoraty i habilitacje niespełniające tych kryteriów winny być szybko i nieuchronnie pozbawiane uprawnień. Po trzecie, konieczne jest znaczące podniesienie rangi doktoratu, jako swoistego certyfikatu świadczącego o umiejętności prowadzenia pracy badawczej. Bardzo sensowny wydaje się zatem pomysł, by możliwe było potraktowanie jako rozprawy doktorskiej artykułu opublikowanego w czasopiśmie posiadającym wysoki IF.

Nie ośmielał się zgłosić postulatu najważniejszego. Niezbędne na polskich uniwersytetach jest powszechne panowanie merytorycznej kultury organizacyjnej. Nie oznacza to jednak, że taki stan nie jest moim marzeniem.

ROMAN BÄCKER

Prezes Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych
w latach 2010–2016.

O polskich naukowcach w USA i ich niewykorzystanych możliwościach

Podczas mojego wystąpienia na V Kongresie Polskich Towarzystw Naukowych w Świecie: *Inteligencja polska w świecie* przedstawiłem sylwetki 19 najbardziej znanych w USA polskich informatyków i dziewięciu bioinformatyków (slajdy są dostępne na stronie PAU). W doborze skorzystałem z bazy zawierającej nazwiska najczęściej cytowanych informatyków (są tam tylko osoby z h-index powyżej 40). Przedstawiłem także innych znanych informatyków z dużymi osiągnięciami, nierzadko większymi niż ci obecni w bazie; wszyscy są na liście Collegium of Eminent Scientists of Polish Origin and Ancestry prowadzonej przez The Kościuszko Foundation. Jeśli chodzi o bioinformatyków, to nie istnieje specjalna baza rankingowa; część z nich jest na liście najczęściej cytowanych informatyków, jako że bioinformatycy wywodzą się albo z informatyków, albo z biologów/biochemików zajmujących się modelowaniem. Warto pamiętać, że bioinformatycy są często znacznie częściej cytowani niż informatycy, a to dlatego, że publikacje z zakresu nauk biologicznych mają bez porównania większą liczbę czytelników.

Po przedstawieniu sylwetek informatyków i bioinformatyków, w podsumowaniu stwierdziłem, że polscy naukowcy są najlepszymi ambasadorami Polski. Po pierwsze, mieszkając i pracując na stałe w Stanach Zjednoczonych, znają ten kraj znacznie lepiej niż większość oficjalnych przedstawicieli i, co ważne, wszystkim im leży na sercu, aby Polska była przedstawiana w jak najlepszym świetle. Po drugie, oddziałują oni codziennie na wielu ludzi w swoich miejscach pracy oraz na tysiące studentów, którzy wiedzą o ich pochodzeniu. Co więcej, prawie wszyscy zadbał o wychowanie swoich dzieci w duchu polskim i one z kolei, studiując na różnych uniwersytetach, często tych najlepszych, oddziałują na swoje koleżanki i kolegów. Czterech z przedstawionych informatyków urodziło się i wykształciło

(doktoraty na MIT i Stanford) już w USA, pozostali albo robili doktoraty w Polsce, albo magisteria w Polsce, a doktoraty w Stanach (na MIT, University of Colorado, Boulder, Rutgers University).

Aby wykorzystać olbrzymi potencjał polskich naukowców, zasugerowałem stworzenie stanowiska „profesora stowarzyszonego” (Affiliated Professor) – tak, aby ci pracujący w USA czy też w innych krajach mogli publikować z afiliacją zarówno swojej, jak i polskiej uczelni. Jest to stanowisko bez wynagrodzenia, ale prawie ze wszystkimi przywilejami pełnoetatowego stanowiska profesorskiego.

Inną sugestią było ściąganie części naukowców z powrotem do Polski, choć wiem, że takie działania są już podejmowane. Np. moja była doktorantka przenosi się z Google w Nowym Jorku do Google w Warszawie, wraz z mężem, który też pracuje w Google, też jest po AGH i który także zrobił doktorat w moim Instytucie. Podałem też przykład chińskiego sukcesu w ściąganiu naukowców: dwóch noblistów rok temu nie tylko opuściło Stany, ale też zrzekło się obywatelstwa, aby zostać członkami Chińskiej Akademii Nauk już jako Chińczycy. W tej kategorii mamy chyba tylko prof. Franka Wilczka, ale szansa na jego ściągnięcie jest chyba bliska zeru. Jednakże jest sporo innych znanych, choć jeszcze nie noblistów.

Zaobserwowałem również, że pomimo bardzo dobrej jakości kształcenia, polskie państwowe uniwersytety znajdują się bardzo nisko w rankingach. Przykładem jakości tego kształcenia mogą być moi doktoranci, którzy okazali się lepsi od innych, najpierw jako studenci (prawie na każdym uniwersytecie w USA na studiach doktoranckich większość studentów jest z Chin), a później pracując dla przedsiębiorstw takich jak Amazon, Google albo jako profesorowie na uniwersytetach. W następnym artykule opiszę jak można poprawić wizerunek polskich uczelni poprzez ich konsolidację.

KRZYSZTOF J. CIOS

Virginia Commonwealth University,
Richmond, Virginia, USA

O „doświadczonym naukowcu”

Dwa grosze do ostatniej dyskusji o „wymogach projektowych” NCN i przypadku (?) profesora Iwo Biruli-Białynickiego. Obowiązujący system finansowania nauki w Polsce wywodzi się z ducha – co, jak widać, ma szczegółowe przełożenie na przepisy prawne – ze wzorców socjalistycznych, i to w wydaniu wschodnioeuropejskim (rosyjskim). Ustawa o NCN i jego uchwała własna w sposób absurdalny „doprecyzowują”, kto jest „doświadczonym naukowcem”. Toż to przepis żywcem przeniesiony z carskiego *zercala* (dwa w jednym: portret cara i „zwierciadło praw” pod kłosem, rodzaj prawosławnej monstrancji wystawianej na stół w każdym urzędzie na czas posiedzeń). Szczegółowe przepisy praw do roku 1917 – i dalej, pod rządami nowych carów – precyzyjnie bowiem określały, jakie tytuły i na jakich zasadach winien posiadać pracownik naukowy, który był jednocześnie carskim czynownikiem.

Drugi grosz – odwołanie od decyzji pozostaje nadal poważnym uchybieniem i wyłomem w obowiązującej przewlekłej biurokratycznej procedurze (rosyjska *wołokita*). W Rosji było ono wprost zakazane. Zgodnie z ruskim

przysłowiem – „kto bez grzechu przed Bogiem, kto bez winy przed carem?” – jedynym dysponentem stanowisk, od petersburskiego ministra po inżyniera w Pikutkowie, był cesarz (początek podania o przyjęcie do pracy jednego z twórców polskiego kolejnictwa: „Najjaśniejszy Cesarz Mikołaj Aleksandrowicz, Samowładca Wszechrosji, Pan Najmiłościwszy, prosi inżynier-technolog ze szlachty Antoni Zachariasz Andrejewicz Xiężopolski. Mając życzenie wstąpić na służbę państwową w resorcie komunikacji, najuniżeniej proszę dla siebie, aby nakazane było przyjęcie mnie na służbę Waszej Imperatorskiej Mości do Zarządu państwowych kolei żelaznych”). Mianując osobę urzędową na dane stanowisko, car obdarzał ją swoim cesarskim zaufaniem. Oficjalne przyznanie, że nominat popełnił błąd lub występstwo w ogóle nie wchodziło w rachubę. Znaczyłoby to, że samodzierżca się pomylił, co z natury rzeczy było niemożliwe. Stąd – w ostateczności – przenosiny urzędników na inne stanowiska (boczny tor), awanse (kopniak w górę), emerytury, dymisje na własną prośbę (rzadkość), ale nie odwołanie (w obu znaczeniach tego słowa)!

JACEK ŻUREK

Warszawa

Szanowny Panie Redaktorze,

Rzeczywiście, Dyrektor Zbigniew Błocki, zabierając głos na mój temat w numerze 404 „Pauzy Akademickiej” ma formalnie rację. Co prawda kierowałem w ciągu ostatnich lat dwoma grantami (*Elektrodynamika kwantowa kubitów i kuditów 2008–2010* oraz *Odtworzenie geometrii z danych rozproszeniowych*

2012–2017), ale nieopatrznie uzyskałem przedłużenie tego drugiego grantu i kończy się on dopiero za dwa miesiące (!). Uważam jednakże, że odrzucenie wniosku grantowego bez żadnej rzeczowej opinii, w oparciu o tak sztuczne kryterium, jest sprzeczne z założeniami mądrej polityki naukowej.

IWO BIAŁYNICKI-BIRULA
Centrum Fizyki Teoretycznej PAN

Grzechy główne

Drogi Panie Redaktorze,

Dyskusje o habilitacji są tak nużące, że może – zamiast je prowadzić – lepiej byłoby opisać 7 grzechów głównych w organizacji polskiej nauki (habilitacja/lub jej brak do takowych nie należy).

Oto owe grzechy:

1. Nadmiar samodzielnych pracowników naukowych przy niedoborze zasobów (proszę rzucić okiem na tę liczbę na Wydziale Fizyki UJ i UW (na obu jest około 170, bo oba wydziały są godne i dobre naukowo), i porównać z Wydziałem Fizyki na Harvardzie (około 70). W naszej armii naukowców mamy mnóstwo generałów i pułkowników, za to za mało sierżantów i szeregowców. Habilitacja tutaj nie pomaga, a wręcz szkodzi, bo dla czego ktoś, kto lubi uczyć, nie może być adiunktem przez całe życie, mając stopień doktora.

2. Nieposiadanie mandatu przez rektorów i dziekanów do przeprowadzania zmian oraz brak decyzyjności w ministerstwie. MNiSW i rektorzy powinni wymyślić taki sposób finansowania uczelni, żeby rektor mógł zaprowadzić zmiany, twierdząc, że inaczej uczelnia nie dostanie pieniędzy (prawa nie warto zmieniać, ani naruszać niezależności uczelni – wystarczy dobry budżet dla zmian). Przy okazji w dobrym budżecie można byłoby rozwiązać problemy z punktu 1 i 3.

3. Organizacyjne pomieszanie „college’u” i „research university” na polskich uczelniach – żadna nie może się zdecydować, czy ma uczyć masy, czy elity. System finansowy skłania do uczenia mas. Zmiany muszą uwzględnić fakt, że dla naszego społeczeństwa liczą się tytuły, np. tytuł zawodowy magistra (uwaga profesora Stefana Jurgi). Oznacza to, że „college” z masowym kształceniem powinien zostać na uczelni dla narodu i Polski, ale też musimy kształcić elity dla narodu i Polski. Stąd propozycja podziału wewnątrz uczelni na college, co da stopień licencjata i tytuł zawodowy magistra (jak dotychczas), oraz ścieżkę research dla wybranych studentów. To drugie kształcenie odbywałoby się w grupie badawczej już od licencjata. Pracownicy wydziałów chętnie sami się podzielą na te dwie grupy – do college’u i do researchu. Ci pierwsi byłiby oceniani według kryteriów dydaktycznych (bez specjalnego oceniania ich naukowych osiągnięć), a ci drudzy – według bardzo twardych kryteriów naukowych. Oczywiście ci pierwsi też mogliby robić ba-

dania, gdyby im tak w duszy zagrało od czasu do czasu, zwłaszcza we współpracy z tymi drugimi. Można byłoby wtedy odejść od habilitacji. Na początku, chętnych do tej drugiej ścieżki byłoby niewielu, ale z czasem ich liczba by rosła.

4. Brak szacunku profesorów dla studentów i vice versa. Tego nie da się zadekretować lub zapisać w ustawie. Student to partner w badaniach, ale jeśli profesor nie robi badań, to wtedy jego student staje się zakałą. Kiepscy studenci i kiepscy profesorowie, mimo że na siebie nawzajem narzekają, to idą ramię w ramię w utrzymaniu status quo.

5. Nadmiar zajęć dydaktycznych, wynikający z nadmiaru profesorów, którzy muszą wyrobić pensum. Zahacza o grzech 1 i 4 – brak szacunku przekłada się także na kiepskie wykłady, na co tak wielu studentów narzeka na polskich uczelniach.

6. Brak wolności rozwoju dla młodych, pełnych pomysłów naukowców. Na wolności dla młodych wygrało USA, przyciągając talenty z Europy (młody człowiek, młoda grupa, wolność badań i organizacji takiej grupy bez konieczności posiadania wiekowego mentora i habilitacji). Przetestowałem to na moich uczniach, np. na profesorze Piotrze Garsteckim, który po postdoku na Harvardzie od razu tworzył sobie grupę bez niczyjej ingerencji i nawet bez habilitacji. Teraz wszyscy młodzi tak mają w Instytucie Chemii Fizycznej PAN. Efektem tych zmian jest kategoria A+ dla Instytutu.

7. Brak pieniędzy na powyższe zmiany.

Ale spowiedź z grzechu 7 (głównie w elitach władzy) powinna mieć miejsce, gdy to my profesorowie, wyświadamy się z pierwszych 6. Najważniejsze jest to, że możemy przeprowadzić zmiany, nie zwalniając żadnego pracownika uczelni. Wystarczy spokojnie poczekać i stopniowo powiększać część badawczą uniwersytetu. Taka była strategia Stanfordu w latach sześćdziesiątych, a efekty widać dzisiaj. Myślę, że uczelnie w Polsce dojrzały do stopniowych zmian, żeby nasze najzdolniejsze dzieci i wnuki nie uciekały na zachodnie uczelnie, innowacje nie były pustym słowem, a polska gospodarka stała się wzorem do naśladowania. Wszystkim nam zależy na godnym życiu Polek i Polaków, a jak pokazuje współczesny świat, bez nowoczesnych uczelni po prostu się nie da.

Pozdrawiam,

ROBERT HOŁYST
Instytut Chemii Fizycznej PAN

zaPAU

Sancta Simplicitas

Jednym z ważnych zagadnień, któremu poświęcono wiele uwagi podczas dyskusji nad problemami polskiej nauki, prowadzonej w ramach Narodowego Kongresu Nauki przygotowującego Ustawę 2.0, było „umiędzynarodowienie” prowadzonych w Polsce badań naukowych. Sprawa wywołała ostre spory, bo o ile nikt nie kwestionuje tezy, że polska nauka winna mocniej zaistnieć w nauce światowej, to już proponowane metody działania w tym kierunku wzbudzają liczne kontrowersje.

Pierwszy poważny problem, znany i omawiany od lat, to jak rozumieć „umiędzynarodowienie” nauk humanistycznych i jak ten postulat ma być przez środowisko humanistów realizowany. Z oczywistych powodów nie mam na ten temat wiele do powiedzenia, prócz tego, że widzę, jak bardzo skomplikowana to sprawa, jak ogromne emocje generuje i jak łatwo można wszystko zepsuć, zachowując się jak słoń w składzie porcelany.

Sytuacja jest – pozornie – bardziej klarowna w naukach przyrodniczych i ścisłych, które – niejako z natury rzeczy – są międzynarodowe. Jednak i tutaj zaznacza się wyraźny podział opinii. Nie jestem, rzecz jasna, w stanie przedstawić wszystkich niuansów dyskusji, ale w pierwszym przybliżeniu można głosy podzielić na tych, którzy uważają, że Polacy winni konkurować z najlepszymi w nauce światowej „jak równy z równym”, bez żadnej dodatkowej osłony, oraz tych, którzy sądzą, że jakieś wsparcie – choćby czasowe – jest konieczne.

Jestem zwolennikiem tej drugiej opcji. Nie dlatego, abym uważał – iż należy wspierać nieudaczników i mieroty, lecz dlatego, że pierwsza opcja jest zwyczajnie nierealna. Otóż, „konkurowanie jak równy z równym” wymaga przynajmniej przybliżonej równości szans. A jak tu mówić o równych szansach, skoro zarówno budżety, jak i możliwości organizacyjne są dramatycznie nierówne.

Powszechnie znany jest fakt, że budżet Uniwersytetu Harvarda jest mniej więcej równy całemu budżetowi, który państwo polskie przeznacza na naukę. Zdążyliśmy się już do tego przyzwyczaić. Rozumiemy: USA to potężny, bogaty kraj i trudno się z nim równać. Ale niedawno dowiedziałem się, że budżet Uniwersytetu w Tel Awiwie jest pięć razy większy od budżetu Uniwersytetu Jagiellońskiego! Więc – jak mówimy w Krakowie – z czym do gościa?

Wiąże się z tym nabrzmiały problem polskich czasopism naukowych. Ekstremiści uważają, że polskie czasopisma nie mają sensu i należy po prostu publikować w czasopismach zagranicznych o wysokim „czynniku wpływu” (Impact Factor – IF). Jest to zresztą stanowisko

zgodne z obecną polityką resortu nauki, który podtrzymuje system ocen instytucji i pracowników faworyzujący czasopisma o wysokim IF. Skrajnie nierozsądna (oraz ignorująca naukowo ustalone fakty) zasada: „praca naukowa jest warta tyle, ile czasopismo, w którym została opublikowana”, znalazła się nawet w pewnym momencie wśród też rekomendowanych przez resort i przedstawionych do dyskusji Radzie Narodowego Kongresu Nauki. Została, na szczęście, totalnie skrytykowana w czasie finałowego spotkania NKN w Krakowie i mam nadzieję, że nie znajdziemy jej w rozporządzeniach, które określą zasady oceniania wyników badań naukowych.

Taki system ocen jest w istocie rzeczy zabójczy dla polskich czasopism naukowych, odcina je bowiem od naturalnego zaplecza. Nikt przytomny nie będzie przecież publikował w polskim czasopiśmie, które dostarcza połowę „punktów” jakie można uzyskać publikując w czasopiśmie zagranicznym (gdzie zresztą bywa, że recenzje są łagodniejsze). A nawet gdyby zechciał, nie pozwoli mu na to dyrektor instytutu lub dziekan. Musi to w końcu doprowadzić do upadku i likwidacji nawet dobrych czasopism, o długiej tradycji. W najlepszym razie spowoduje ich sprzedaż zagranicznym inwestorom i usunięcie w ten sposób Polski z tego ważnego rynku. Dodajmy, że oznacza to również wzmocnienie międzynarodowych monopoli, uzyskujących ogromne i nieuzasadnione zyski, za które wszyscy płacimy w postaci wysokich kosztów dostępu do publikacji.

Nie waham się nazwać tej polityki zbrodnią dokonywaną z zimną krwią na polskiej nauce.

Odwolywanie się do zasady „fair play” w międzynarodowym rynku naukowym (bo – niestety – nauka podlega już prawom rynku) jest po prostu skrajną naiwnością. Uczeni mają, być może, prawo do takiej naiwności. Ale decydentom, od których zależą warunki działania oraz sytuacja całej nauki w Polsce, nikt takiego prawa nie przyznał. W końcu płacimy im za to, aby bronili polskich interesów, a nie, żeby pozbywali się za bezcen naszego udziału w globalnym rynku badań i publicystyki naukowej, zostawiając ten sektor żarłoczności światowych potentatów.

Naprawdę najwyższy czas skończyć z naiwnością i przywrócić zasady twardej walki konkurencyjnej oraz zdrowego rozsądku. Również w polityce naukowej.

Niestety, zapewne wewnętrzne spory i walka o ograniczone środki znowu okażą się ważniejsze niż obrona wspólnych interesów. Wybiorą nas jak ryby z saka, powiedziałyby Onufry Zagłoba.

ABBA

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzostkowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.